



Ewa Piasecka

BEZ  
KOŃCA

**EWA PIASECKA**

**BEZ  
KOŃCA**

© Copyright by Ewa Piasecka

Korekta: Marta Bluszcz

Skład: Katarzyna Krzan

ISBN e-book: 978-83-974602-0-1

ISBN druk: 978-83-974602-1-8

Wszelkie podobieństwo do osób, miejsc, sytuacji  
i przedmiotów jest przypadkowe, choć w każdej bajce tkwi  
przecież jakieś ziarnko prawdy.

Wszelkie prawa zastrzeżone.  
Kopiowanie, rozpowszechnianie części lub całości  
bez zgody wydawcy zabronione.  
Wydanie I 2025

*Tyś nie z soli ani z roli,*

*Tylko z tego, co cię boli.*

(parafraza słynnej wypowiedzi  
hetmana Stefana Czarnieckiego)

# Prolog

**Wyszków, 30 września 2022 roku.**

Był ponury, wyjątkowo ulewny wieczór. Deszcz niemiłosiernie zaciął. Wszystko, co tylko mogło się ruszać, tańczyło w rytm porywistego wiatru po obu stronach mokrej i śliskiej drogi. Zmiana aury jak zwykle nastąpiła nagle i niespodziewanie.

W tej sytuacji adwokat Ryszard Majka zrezygnował z dalszej rowerowej przejażdżki. Miał dzisiaj jechać do Wołomina, ale najpierw chciał się zorientować w sprawie tutaj, w Wyszkowie. Planował sprawdzić jeden adres, bo kobieta coś za długo nie dzwoniła. Jej telefon też milczał, choć umawiali się inaczej. Mimo że takie rowerowe wyprawy to była dla niego codzienność i przyjemność, swoje plany był zmuszony szybko zmienić.

„Diabli nadali tę moją dzisiejszą podróż! Że też mi się zachciało gdzieś jechać! Co mi strzeliło do głowy, żeby się ruszać z domu?” – psioczył sam na siebie w myślach.

Co prawda do pokonania było raptem około dziesięciu kilometrów z jednego końca miasta na drugi, ale i tak przy tej pogodzie – w strugach deszczu i w wywijających wszystko podmuchach – była to nie lada sztuka nawet dla niego. Wietrzyśko bez przerwy rozpinowało mu kurtkę, wyrywało szalik, a zimno dostające się pod jego ubranie przenikało go aż do samych kości. „To był całkiem głupi pomysł. Za długo siedziałem w kancelarii i za późno się wybrałem. Straciłem mnóstwo czasu i niczego nie załatwiłem”.

Do tego jeszcze w trakcie przejażdżki ktoś go zagadał w nad wyraz wścibski sposób i ta rozmowa wyjątkowo go zmęczyła. Nie mówiąc o tym, że w międzyczasie pogoda całkiem się rozkręciła.”

Deszcz zaczął coraz bardziej, a do tego jego rower ciągle mijały w niebezpiecznej odległości samochody, które w sposób uprzykrzający jazdę i dokuczliwy co rusz oślepiały go ostrymi światłami. W ich blasku gęsta mżawka była niezwykle wyraźna, a krople wody wyglądające jak tysiące mieniących się ostrych igiełek muskały go co chwila. Rowerzysta czuł coraz większy opór powietrza i coraz trudniej było mu się poruszać.

Kiedy kolejny raz popatrzył w lusterko, tuż za sobą zobaczył innego rowerzystę. Wydawało mu się, że ten poruszał się za nim już od dłuższego czasu. Jakieś irracjonalnie przeczucie kazało mu go zgubić. Próbował kilkakrotnie, ale za każdym razem, kiedy był już pewien, że mu się to udało, tamten znowu się pojawiał.

Jazda stawała się coraz bardziej męcząca i zdawało mu się, że trwa wieki. Wreszcie jednak adwokat spostrzegł z ulgą, że cel jego podróży jest już blisko. Z daleka widać było jego starą, zaniedbaną, latami nieremontowaną kamienicę, którą w większej części z powodzeniem wynajmował, prowadząc jedynie na dole kancelarię.

Wreszcie zatrzymał się na chodniku koło domu. Zanim wszedł do środka budynku, kątem oka zobaczył, że towarzyszący mu rowerzysta zniknął. To go uspokoiło, przywiązał więc rower do barierki i wszedł do korytarza. Chciał zapalić światło. Już sięgał, aby dotknąć włącznika znajdującego się na ścianie z lewej strony bramy, kiedy poczuł silne uderzenie w głowę, a zaraz potem narastający tępy ból potylicy, który z każdą chwilą narastał, rozrywając mu głowę.

I była to ostanía myśl, którą zarejestrował jego umysł.

# Rozdział I

**Kraków, Jasło, Leśniów, 10–16maja 2023 roku.**

Radczyni prawna Justyna Kielczyk siedziała na kanapie w swoim własnym domu i w sumie trochę się nudziła. Jak na jej możliwości miała niezwykle długie wolne. Pierwszy raz w jej życiu były to aż dwa miesiące, bo wreszcie w pracy wzięli się za zaległe urlopy. No cóż, było do przewidzenia, że tak się w końcu stanie. Ktoś tam na górze wymyślił, że co najmniej dwie trzecie mają być wykorzystane w ciągu roku, a nie cały czas magazynowane i trzymane na czas bezpośrednio poprzedzający emeryturę. O, co to, to nie! – jak zostało w piśmie wyraźnie wręcz wykrzyczane.

Rzecz jasna ona, pięćdziesięcioletnia kobieta zatrudniona na pełnym etacie w Urzędzie Miasta Krakowa, miała tego zaległego urlopu nagromadzone całkiem sporo.

Ma się rozumieć, że na początku najzwyczajniej w świecie w ogóle nie była zadowolona z takiego obrotu



sprawy. Obawiała się, że jeśli teraz wykorzysta wolne niepotrzebnie, nie robiąc nic aż do znudzenia, to potem, gdy zajdzie potrzeba, pewnie go jej braknie. Po przemyśleniu sprawy doszła jednak do wniosku, że taka dłuższa przerwa w pracy chyba jest jej istotnie potrzebna.

W rzeczywistości bowiem w tym momencie czuła się już swoją pracą naprawdę porządnie zmęczona. Jej zawodowe życie toczyło się, a właściwie przebiegało, w gigantycznym pędzie: biuro, sąd, druga kancelaria, dyżury. A przecież wszędzie i ze wszystkim trzeba było zdążyć, nie zawałając żadnego z terminów, aby ludzie się nie złościли, aby nie stracić klienta, aby nie zniknąć z rynku w tym tak bardzo konkurencyjnym świecie.

W chwili obecnej zapowiadała się jednak dłuższa chwila oddechu na wszystkich zawodowych frontach. W urzędzie długie wolne, w drugiej kancelarii przejściowa stagnacja, jeśli chodzi o nowe sprawy, a w sądzie, siłą rzeczy, chwilowy brak kolejnych terminów rozpraw.

Wreszcie skonstatowała, że na szczęście wszystko przyszło w całkiem odpowiednim momencie. W domu dopiero co rozpoczął się spory remont, zupełnie

niespodziewanie bowiem wyłoniła się nagle konieczność jego przeprowadzenia. Program poprawy klasy energetycznej budynków dotarł w końcu również do jej domu. Do tego w pakiecie wyniknęły jakieś naprawy rynny i dachu, malowanie, odnawianie. Czyli ogólny wszechobecny bałagan. Nie czuła się z tym dobrze. Nie lubiła, gdy po „chałupie” kręcili się obcy ludzie. Przeważnie się wymądrzali i wszystko wiedzieli najlepiej, a w rzeczywistości robili tylko zamieszanie. Aktualnie wszystko było jeszcze w początkowej fazie, czyli totalnie rozgrzebane, i wlokło się niemiłosiernie, a koniec nie był w ogóle widoczny, mimo że koledzy budowlancy zaprzyjaźnieni z nią od wielu lat nawet nocowali u niej w domu, na miejscu. Było to z jednej strony dobre rozwiązanie, bo już od wczesnego rana zaczynali pracę, ale z drugiej – nie do końca, bo niestety trzeba było wstawać wcześniej rano wraz z nimi. A budzili się skoro świt. Całe szczęście, że można było zaraz potem napić się dobrej kawy i to bez pośpiechu, skoro był ten urlop, a później spokojnie zjeść śniadanie. Ale już chwilę potem zaczynał się hałas i chaos, oznaczający dla domowników wymuszoną bezczynność.

„Gdyby nie telewizja, Internet i smartfon, to człowiek zanudziłby się na śmierć” – myślała. Bo też ile można było w ciągu dnia zajmować się studiowaniem najnowszego orzecznictwa czy zbieraniem materiałów do przygotowywanej od dwóch miesięcy superobszernej opinii dla macierzystego urzędu? Jak długo można było znosić tę niemożliwą powtarzalność: pranie, nowe pranie, obiad, kolejny obiad i tak w kółko?

Jak to dobrze, że chociaż nośniki informacji należycie funkcjonowały i że zawsze było tam mnóstwo ciekawych rzeczy. No i oczywiście codzienna wieczorna rozmowa na WhatsAppie z córką Izą, która od roku przebywała na zagranicznych studiach handlowych w Hamburgu. Naoglądawszy się bowiem programów o kobietach mieszkających w różnych bliższych i dalszych zakątkach świata, stwierdziła, że ona też tak chce i musi. Cóż było robić? Jedynemu dziecku się przecież nie odmawia.

Nagle z rozważań wyrwał Justynę dźwięk telefonu. Spojrzała na wyświetlacz. Wujek. Jak się domyślała, dzwonił pewnie w sprawie ciotki. Od dawna była ciężko chora. Wiadomość mogła być więc raczej tylko jedna.

– Tak, niestety, bardzo mi przykro, bardzo ci współczuję – mówiła cicho do smartfona. – Kiedy pogrzeb? – zapytała. – W środę, o trzynastej... Na wsi trzydzieści kilometrów za Jasłem – powtarzała jak echo za swoim rozmówcą. – Przyjadę sama, bo Romek musi pilnować budowlańców – poinformowała.

„Ciekawe, jak tam dojadę. A przecież będę musiała pojechać” – pomyślała, kończąc rozmowę.

\*\*\*

W dniu wyjazdu do Leśniowa Justyna wstała bardzo wcześnie, bo już przed piątą rano, i szybko się ubrała. Po wypiciu naprędce zaparzonej herbaty wyszła na zewnątrz, zamówiwszy uprzednio taksówkę, którą postanowiła dostać się na dworzec. Na dworze musnęło ją łagodne ciepło typowe dla tej pory roku. Był środek maja, a w dobie ogólnego ocieplenia klimatu temperatury z reguły już od rana wynosiły ponad dwadzieścia stopni. Tak było i tym razem. „Przynajmniej to mi się udało” – pomyślała.

W jej domu wszyscy jeszcze spali, zarówno mąż, jak i ekipa fachowców, czyli koledzy spod Tarnowa.

– Takim to dobrze – znowu westchnęła, czekając przed domem na taksówkę. – Oni smacznie chrapią po wczorajszym piwkowaniu, co jest standardem w budowlanej branży, a ja już na chodzie – utyskiwała pod nosem sama do siebie.

Musiała jednak przerwać swoje sarkastyczne refleksje, bo w tym momencie zza rogu ulicy wyłoniła się taryfa, która o tak wczesnej porze dnia, co było do przewidzenia, podjechała bardzo szybko. Ruszyli więc na dworzec ulicą Dobrego Pasterza i Aleją 29 Listopada.

Taksówkarz, kolejny Ukrainiec, jechał mało sprawnie i omal nie stuknął drugiego pojazdu, nieco więc go ofuknęła.

Wkrótce znalazła się na dworcu. Sprawnie zakupiła bilet i oczekiwała na przyjazd autobusu. Nie bardzo miała jak wypełnić ten czas, zatem trochę się włóczyła po prawie pustym o tej porze placu. Z nudów kupiła w automacie kawę i ciastko. Były wstrętne. Gdy udało jej się dopić ciepłą, ale wyjątkowo cierpką lurę, na stanowisku ustawił się mały busik. Wsiadła. Nie minęło dziesięć minut, gdy wyruszyli i wraz z nielicznymi pasażerami pomknęli niezbyt zatłoczoną jeszcze drogą.

Takie podróże lubiła – gdy wsiada się od razu, gdy się nie czeka, gdy nie ma bagażu, gdy nie trzeba wykonywać tych wszystkich odpraw, rewizji i prześwietlenia, stać w kolejkach, cisnąć się w tłumie, gdy można wygodnie usiąść, swobodnie oglądać mijające krajobrazy, drzemać albo poczytać gazetę czy coś w smartfonie – wtedy to jest podróż, bez względu na to, gdzie się jedzie. Oczywiście samochodem z kierowcą.

Autobus mknął ekspresowo i trzy godziny później była już na dworcu w Jasle. Zaraz po wyjściu z pojazdu wykonała szybki telefon do wujka.

– Wsiadaj w taryfę i jedź pod mój blok. Nie ma czasu! – Usłyszała.

Pod blokiem już czekał na nią samochód. Po zajęciu miejsca wraz z kilkorgiem innych pasażerów pokonali odległość około dwudziestu kilometrów i dojechali do Leśniowa. Była na miejscu.

„A więc typowa wieś” – pomyślała. Okolica wyglądała na odciętą od świata i pustą. Miejscowość posiadała wyglądający na zabytkowy i bardzo stary, chociaż niewielki kościół w stylu jakby gotyckim. „Skąd się tu taki wziął i uchował?” – pomyślała. Nieopodal

świętyni, po drugiej stronie ulicy znajdowały się solidnie posadowione drewniane szalety. „Chyba równie leciwe albo jeszcze starsze” – pomyślała uszczypliwie. Były bowiem, jak to dawniej budowano, zbite z desek i miały serduszka na drewnianych odrzwiach. Dalej stała mała kaplica, za którą rozpościerał się cmentarz i to było wszystko. Totalnie nic poza tym.

„I w tej pustce, jak zwykle, ja. W głowie pustka, wokół pustka, w duszy pustka. Taki standard, cholera, ale mi się znowu trafiło” – pomyślała żartobliwie. Nie był to bowiem pierwszy raz, gdy sama musiała jechać na podobne uroczystości rodzinne, podczas gdy Romkowi sprytnie udawało się z nich wymigać. „No, niechybnie będzie nieco czasu, z którym zupełnie nie wiadomo, co zrobić” – przewidywała.

Skupiła się na krótkim spacerze po malowniczej krajobrazowo i wyjątkowo spokojnej okolicy. Nie trwało to jednak tak długo, jak pierwotnie przypuszczała, gdyż stosunkowo szybko zaczęli schodzić się ludzie. Justyna z uwagą obserwowała przybywających, zawsze bowiem lubiła obserwować ludzi. Byli to sami miejscowi. Zwyczajni, nierzucający się w oczy, skromni

tubylcy. W pewnym momencie jednak zaczęło się dziać coś ciekawego – podjechało eleganckie, czarne BMW. Z samochodu żwawo zaczęli po kolei wyskakiwać pełni energii członkowie pięcioosobowej delegacji przybyłej wraz z pocztym sztandarowym.

– To moi byli uczniowie, obecnie nauczyciele z Zespołu Szkół w Wołominie, w którym uczyłem kilkadziesiąt lat – oznajmił dumnie wujek, który nagle wyrósł koło Justyny, skończywszy załatwianie jakichś ostatnich formalności pogrzebowych. – Jak miło, że przyjechaliście! – zwrócił się do grupki.

– Panie profesorze, dzień dobry! Jak moglibyśmy nie przyjechać w takiej chwili? – odpowiedzieli zgodnym chórem. W tym momencie Justyna już wiedziała, że ten pogrzeb będzie całkowicie inny.

Po niedługim czasie uroczystości żałobne się rozpoczęły. Na mszy ksiądz jak zwykle przypomniał wszystkim:

– Z prochu powstałeś i w proch się obrócisz.

Nie było to według niego samo w sobie powodem do żałoby. Wszak w codziennym życiu też są różne cykle – zmieniają się pory dnia, roku, po lecie



nadchodzi plucha i zima, i jakoś nikt z tego powodu nie płacze, bo jest to normalne, po prostu taka jest zwykła kolej rzeczy.

Wydawało się to ciekawe podejście do tematu. Jakkolwiek Justyny owo porównanie do końca nie przekonywało, to jednak nasunęła jej się refleksja, że coś w tym musi być, bo człowiek generalnie nie tęskni do przeszłości i do tego, co ma już za sobą. Może rzeczywiście po długim życiu, takim przykładowo stu-letnim lub o jeden dzień dłuższym, zwyczajnie czeka się już na śmierć, pragnąc, aby to wszystko wreszcie się skończyło.

„Może i tak jest – zastanawiała się dalej – ale tylko pod warunkiem, że się naprawdę długo żyje i jest się cały czas w dobrym zdrowiu”.

W kolejnej części kazania duchowny zdawkowo, a nawet nieco ironicznie, przynajmniej jej zdaniem, skwitował drogę życiową zmarłej:

– W zasadzie nasza droga parafianka całe życie spędziła w innym, odległym mieście po to, żeby do Leśniowa wrócić i zamieszkać na stare lata, a wreszcie spocząć – stwierdził. Na tym zakończył swoją przemowę.

Naprawdę ciekawie zrobiło się dopiero potem. Optykę zdarzenia zmieniła bowiem nauczycielka z pocztu sztandarowego, najstarsza stażem, która wraz z nieżyjącą uczyła jeszcze w szkole w Wołominie, będąc w owych czasach na początku swojej przygody z nauczaniem.

Zaczęła spokojnie i szczegółowo przedstawiać drogę zawodową swojej koleżanki, co czyniła w sposób bardzo barwny, elokwentny i ciekawy. Niestereotypowo przedstawiła oryginalny i nieszablonowy sposób prowadzenia lekcji i zaangażowanie w pracę, przy uwzględnieniu siermiężnej epoki głębokiej komuny i całego kontekstu tych zamierzchłych już czasów. Następnie opowiedziała o innych sukcesach zmarłej – o dyplomach i zdobytych odznaczeniach państwowych. I to tak naprawdę dopiero zabrzmiało interesująco i ciekawie. W kościele zapanowała absolutna cisza.

Po zakończeniu dosyć obszernego przemówienia ksiądz wszedł ponownie na ambonę i przemówił, jakby całkowicie zmieniając swoje nastawienie, co nie uszło uwadze słuchających. Tym razem wystąpił po to, aby wyrazić uznanie i podziw dla zmarłej, a mina jakby mu

zrzędu. Podsumował na koniec, że nigdy nie widział pocztu sztandarowego na pogrzebie po tylu latach braku kontaktów zawodowych i w tego rodzaju okolicznościach, co musiało, jego zdaniem, coś znaczyć.

Zarówno msza, jak i standardowy kolejny etap tej smutnej uroczystości zakończyły się już po niedługim czasie.

Bezpośrednio po oficjalnej części pogrzebu Justyna, chcąc nie chcąc, udała się na konsolację. I tak nie miałyby przecież czym wrócić. Gdy przybyła pod wskazany adres, również i to miejsce wprowadziło ją niejako w osłupienie.

Ujrzała właściwie pałac. Zdumiewało, że taki obiekt znalazł się na tak małej wsi, tym bardziej, że oprócz niego w pobliżu nie było nikogo i niczego. Środek nie ustępował temu, co oglądała na zewnątrz. Prezentował się „na bogato” – miał konkretne, nastrojowe i – można rzec – z całkiem sporym rozmachem urządzone olbrzymie pomieszczenia, a do tego uśmiechnięty personel oczekujący na przybyłych gości.

Zgodnie z ugruntowaną tradycją Justyna zaliczyła naprawdę dobry i obfity obiad, w trakcie którego

wujek jak zwykle wszystkim wszystkim przedstawiał. Oczywiście nie omieszkał rzec, że Justyna jest radcą prawnym, czego osobiście nie cierpiała. W tym momencie jedna z członkiń delegacji zmieniła wyraz twarzy.

„Co, do cholery? – pomyślała Justyna. „Czyżby nieznajoma miała jakieś nie najlepsze doświadczenia z tym jakże sympatycznym zawodem?”. Lubiła swoją pracę i w żadnej innej profesji by się nie widziała, ale ona to ona.

Potem, jak to zwykle bywa, nastąpiła fajna, pogodna rozmowa. Dziewczyny z delegacji szkolnej wydały jej się bardzo sympatyczne. Widać było, że darzyły dużym sentymentem swego przełożonego sprzed tak wielu lat. Przy wspólnym stole zaczęły się wspomnienia, opowieści, wyłaniały się różne ciekawe historie. Justyna była pod coraz większym wrażeniem tego spotkania.

W końcu przyszedł czas na kameralne rozmowy „w podgrupach” – wszak atmosfera, mimo bezalkoholowej oprawy, całkowicie się już rozluźniła. W tym momencie podeszła do Justyny nieznajoma kobieta, około pięćdziesięcioletnia, ta, która wcześniej tak dziwnie zareagowała.

– Czy ja mogę zamienić z panią kilka słów? – zapytała.

– Oczywiście. Jak rozumiem, pani też jest nauczycielką w tej szkole?

– Tak, pan profesor Leszek Kielczyk był moim nauczycielem, a teraz ja sama od wielu lat tam uczę.

– Zatem w czym rzecz? O czym chciała pani porozmawiać?

– Pani mecenas, jeżeli tak mogę powiedzieć, jest taka sprawa, która nurtuje mnie od dwóch lat. Przepraszam, że teraz o tym mówię, ale nie mogę znaleźć spokoju, gdyż moje dotychczasowe działania nie dały żadnego rezultatu. Ale może ja się najpierw przedstawię. Nazywam się Barbara Pańczyk. Wie pani, dwa lata temu moja ukochana siostra Janina, która też była nauczycielką w tej samej szkole, została zamordowana.

– O, bardzo przykra sprawa – odrzekła Justyna.

– Tak, nie mogę się otrząsnąć z tego do dziś. – W jej oczach pojawiły się łzy. – Zwłoki mojej siostry Janiny Włóczkowskiej – to nasze nazwisko panięskie – znaleziono w parku w Wołominie rano. Jako przyczynę zgonu stwierdzono uduszenie. Prowadzono oczywiście intensywne czynności, lecz sprawcy nie odnaleziono.

Przyjęto wersję, że najprawdopodobniej był to mord na tle rabunkowym. Rzecz w tym, że ja w to nie wierzę, wydaje mi się to za proste. U nas w mieście ktoś miałby siostrę udusić dla bliżej niesprecyzowanego zysku? Nonsens! – wykrzyknęła. – Zresztą, nawet jeżeli był to mord rabunkowy, to przecież za tym też stoi jakiś człowiek! Nie minęły dwa lata, a oni już umorzyli sprawę. Ja myślę, że to trochę za szybko się stało.

– Czy siostra miała jakieś problemy? Czy przed tym zdarzeniem miało miejsce coś dziwnego, nietypowego, coś, co panią zastanowiło? – zapytała Justyna.

– No właśnie w tym rzecz, że i tak, i nie. Nie mogę tego stwierdzić jednoznacznie. Jakiś czas przed zabójstwem siostra stała się inna, jakby była czymś podekscytowana. Mówiła kilkakrotnie, że ma jakiś problem czy problemy, musi coś wyjaśnić, zająć się wreszcie sobą, zmienić towarzystwo czy coś takiego... Nie chciała jednak powiedzieć nic konkretnego i nie przeurodziło się to w nic większego, niepokojącego. Raz też, tak około pół roku przed śmiercią, mówiła, że kiedy wracała z Warszawy do domu, była śledzona. Tak jej się przynajmniej wydawało. Sprawca miał podobno wsiąść

do pociągu już na Dworcu Wileńskim i przyglądać się jej, potem jednak gdzieś zniknął w Wołominie.

– No dobrze – przerwała jej Justyna. – Ale jak ja mogę w tym wszystkim pomóc? Jaka miałaby być moja rola?

– Wie pani, ja, ma się rozumieć, odziedziczyłam spadek po siostrze. Mieszkanie, sporą sumę pieniędzy. Siostra była dosyć oszczędna i mimo że na swój sposób korzystała z życia, to jednak zgromadziła przez te wszystkie lata pracy trochę pieniędzy. Myślę, że jestem jej to winna – zrobić wszystko, co jest możliwe, aby odnaleźć sprawcę. Stać mnie na to, aby uczciwie zapłacić i chociaż spróbować wyjaśnić tę sprawę. Zebrało się przecież niemało materiału dowodowego dotyczącego tego zajścia. Jasia każdego roku sporo notowała w książkowych kalendarzach. Mam ich kilkanaście, z wielu kolejnych lat. Ona wszystko miała zaplanowane, oznaczone. Czytałam co prawda tylko ostatni i według mnie nie ma tam nic szczególnego, ale może coś przeoczyłam. Chciałabym, aby to zobaczył ktoś jeszcze. Poza tym są akta tego postępowania, których kserokopie otrzymałam na swój wniosek jako pełnomocnik

pokrzywdzonej. Siostra nie założyła nigdy własnej rodziny. Sprawę, jak już mówiłam, umorzono. Za chwilę całkowicie pokryje się ona patyną i wtedy już nic się nie ustali. A może pani zechciałaby zerknąć na to swoim zawodowym okiem? Może po przeczytaniu akt nasunie się pani jakaś uwaga, która pozwoli rzucić nowe światło na to wszystko? Może odkryje pani coś nowego w tej sprawie? Jeżeli natomiast nic się pani nie nasunie, to może mogłaby pani po prostu odpowiedzieć mi, czy coś jeszcze można tutaj zrobić? Czasem samo ponowne spojrzenie w akta po jakimś czasie pozwala coś odkryć i może dużo zmienić. Wszelkie koszty oczywiście pokryję.

Justyna nie mogła oszukiwać samej siebie. Rozmówczyni w jakimś sensie wzbudziła jej ciekawość. To była rzadka dla prawnika sytuacja, nietypowy casus – móc coś ocenić post factum, w momencie, gdy wszystko już jest zebrane, zapięte na ostatni guzik – i nieważne, że przez kogoś innego – a nie, jak to z reguły bywa, gdy akta się dopiero kompletuje. „Powinno być przecież łatwiej i zawsze coś nowego można faktycznie dostrzec” – pomyślała.



W tym momencie obok rozmawiających kobiet pojawił się znienacka wujek, który chyba usłyszał kawałek prowadzonej przez nie rozmowy.

– Justyno, bierz tę sprawę – rzekł. – Słyszałem o tym tragicznym wydarzeniu. Zresztą znalazłem Jasię osobiście. Gdy przyszła do szkoły, ja jeszcze tam uczyłem. Możesz to przecież zrobić? Przeczytanie takich akt to dla ciebie żaden problem, a obiektywnie rzecz biorąc, i ja sądzę, że możesz pomóc.

Po tych słowach Justyna już całkowicie skapitulowała.

– Jak by pani to widziała? – zapytała nieznajomej.

– Może po prostu wysłałabym te materiały do pani pocztą, a potem zobaczymy. Na początek chciałabym prosić, aby pani wszystko po prostu na spokojnie przeczytała – dodała Pańczykowa.

Justyna kiwnęła głową.

– Dobrze. Proszę je przesłać do paczkomatu – zadysonowała ostrożnie.

Nie chciała podawać swojego domowego adresu, a ze względu na urlop nie było jej przecież w biurze. „Czujności nigdy za wiele” – pomyślała, a głośno dodała:

– Pozostaje mi więc tylko przyjąć jeszcze piśmennie pełnomocnictwo do prowadzenia sprawy. – Wyciągnęła z torebki małą kartkę z wydrukowaną formułą upoważnienia procesowego, który to formularz zawsze nosiła przy sobie. – Jesteśmy zatem w kontakcie – potwierdziła po podpisaniu go przez Pańczykową.

Kobiety wymieniły się jeszcze numerami telefonu i zakończyły rozmowę.

Uroczystość dobiegała już końca, po chwili wszyscy zaczęli się żegnać. Ktoś zaoferował radczyni podwiezienie do Jasła. Chętnie skorzystała. Szybko znalazła się na dworcu. Musiała chwilę poczekać na autobus do Krakowa. Mniej więcej trzy godziny później była już w domu. Tam zastała wszystko po staremu. Musiała opowiedzieć, co i jak się odbyło, co zresztą z chęcią uczyniła.

W środku stała się jednak bogatsza o nowe, inne wrażenia, emocje i wiadomości, i tego już nie była w stanie opisać i przekazać. W sumie chyba nawet nie za bardzo chciała. Podzieliła się jedynie przypuszczeniem, że podczas swego dwumiesięcznego urlopu na pewno nie będzie się nudzić.

# Spis treści

Prolog	5
Rozdział I	8
Rozdział II	45
Rozdział III	61
Rozdział IV	90
Rozdział V	153
Rozdział VI	183
Rozdział VII	237
Rozdział VIII	248
Epilog	276